

Przedmiot, podróż, miejsce mityczne

Projekt netnologii

Magdalena Radkowska

Zbyt długo żyliśmy pod terrorem niedościgłej doskonałości Demiurga (...) zbyt długo doskonałość jego tworu paraliżowała naszą własną twórczość. Nie chcemy z nim konkurować. Nie mamy ambicji mu dorównać. Chcemy być twórcami we własnej niższej sferze, pragniemy dla siebie twórczości, pragniemy rozkoszy twórczej, pragniemy – jednym słowem – demiurgii.

Bruno Schulz

Nazywam się Adam Niezgódka, mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii Pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udawało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdążyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdążyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa. (...) Wszystkie furtki [w murach Akademii] prowadzą do rozmaitych sąsiednich bajek, z którymi Pan Kleks jest w bardzo dobrych i zażytych stosunkach. Na każdej furtce jest tabliczka z napisem wskazującym, do której bajki prowadzi. Są tam wszystkie bajki pana Andersena i braci Grimm, bajka o dziadku do orzechów, o rybaku i rybaczce, o wilku, który udawał żebra, o sierotce Marysi i krasnoludkach, o Kaczce-Dziwaczce i wiele innych. Nikt nie wie dokładnie, ile jest tych furtek, bo kiedy je zacząć liczyć, nie można się nie pomylić i po chwili nie wiadomo już, co się naliczyło przedtem.

Jan Brzechwa

Jest zwykłym, najczęściej szarym pudełkiem. Albo zbiorem kilku pudełek. Ale to nie ma znaczenia. Równie dobrze mógłby być wielkim, czerwonym, miękkim sercem, dmuchaną kaczką, przezroczystą kulą z migającymi w środku światełkami czy pamiątką z syjącym śniegiem. Przedmiot ten jednak zajmuje w domu (i nie tylko w domu) sporo miejsca – wymaga zbudowania pewnej przestrzeni wokół siebie, najchętniej czegoś na wzór świętego kąta (często wręcz osobnego – cichego i czystego pokoju), lubi być pielęgnowany, odkurzany i traktowany z szacunkiem. Wymaga od swoich użytkowników choć nieznaczącej wiedzy na temat swojej budowy i zasad funkcjonowania. Już dawno przestał być czymś elitarnym i dostępnym tylko dla wybrańców, ale nadal jest szanowany i podziwiany.

Komputer jest jednym z tych wielu przedmiotów (choć nazywanie go przedmiotem budzi pewne opory), który odsyła nas gdzieś głębiej, do innej rzeczywistości, pomaga przekraczać granice i otwierać się na świat. Tutaj można wskazać jego podobieństwo na pewno do książek, Schulzowskich znaczków pobudzających wyobraźnię, rodzinnych zdjęć, pocztówek, instrumentów muzycznych, radia, telewizora, gier planszowych, obrazów francuskich impresjonistów, zestawu Perky Pat z Dickowskich *Trzech stygmatów Palmera Eldritch'a*, dioramy Daguerre'a, małego kryształku LSD, barokowego malarstwa sufity, filmu, fotoplastykonu i wielu innych rzeczy będących pewno nieodłącznym atrybutem kultury.

Komputer jednak dawno już przekroczył granicę czystej wyobraźni czy iluzji, a może przez swoją definicyjną zerojedyndynowość i matematyczną strukturę od początku im zaprzeczał. Więc nie tutaj chyba trop jego antropologicznego poznania. Nie interesuje mnie też jako przedmiot sam w sobie, ja-

ko zbiór układów scalonych. Chciałabym się zastanowić nad przestrzenią, którą tworzy nie wokół siebie, ale przez siebie – nie sam jeden – ale cała ich gigantyczna rodzina umożliwiająca spotkanie się milionom ludzi na całym świecie, podróżowanie nieskończonej liczby informacji, przestrzeni niematerialną, ale też nie czysto mentalną. Przestrzenią wirtualną, choć lepiej i ścisłej jest mówić o niej cyberprzestrzeni.

Czym jest zatem cyberprzestrzeń? Trudno to jednoznacznie zdefiniować. William Gibson, autor prekursorskiego dla cyberpunku *Neuromancera: Cyberprzestrzeń. Mimowolna halucynacja... danych, wyabstrahowanych z banków każdego komputera, przedstawionych graficznie w systemie ludzkim. Niewyobrażalna złożoność. Linie światła sięgającego nieprzestrzeni umysłu, zbitki i konstelacje danych* (za: Davis 1998, 108). Jednak pójść tropem pisarzy książek tego gatunku, to chyba przekroczyć kompetencje antropologa na rzecz wizjonera. Nie potrafimy jeszcze żyć dosłownie na tym obszarze i cały czas możemy określać się tylko nawzajem poprzez relacje: ja przed monitorem, a sieć informacji, bank danych, przekazy od innych użytkowników, gry komputerowe itd. ukazujące mi się na ekranie. I na tym etapie naszych wzajemnych stosunków chciałabym się zatrzymać, ze świadomością tego, że one właśnie otwierają pole dla nowych doświadczeń i procesów poznawczych, one niewątpliwie mają wpływ na postrzeganie czasu, przestrzeni i innych kosmicznych kategorii.

Wielu autorów widzi w cyberprzestrzeni realizację wielkich, odwiecznych marzeń ludzkości o porzuceniu własnej cielesności, o świecie bez nieczystości, bólu i śmierci, *nieograniczonego narcyzmu* i doskonałego samopoczucia. Rzeczywistość całkowicie odwracalną, w której podjęte decyzje nie są ostateczne, która daje możliwość przełamania wszel-

kich ograniczeń materii. Jest także czystą demokracją i równouprawnieniem. Nasza tożsamość może być kształtowana niezależnie od naszej cielesności, historii czy doświadczeń. Każdy ma możliwość brania wszystkiego, co w cyberprzestrzeni się znalazło, ale także dania, zostawienia części siebie, na którą rzeczywistość nie musi mieć ochoty. Nawet jeśli nie mamy nic do powiedzenia, możemy powiedzieć i nie ma znaczenia, czy ktoś nas słucha. Nie polega to tylko na iluzji kontaktów międzyludzkich. Te kontakty rzeczywiście istnieją. Tu ludzie porozumiewają się naprawdę, lepiej niż w jakiegokolwiek ziemskiej komunie. Cyberprzestrzeń jawi się nam jako spełnienie Wielkiej Ucieczki od świata, który się nie sprawdził, ku temu, który spełnienia nie tylko obiecuje, ale i umożliwia. Dla niektórych jest nawet formą obiecanego zbawienia, religijnego osiągnięcia poprzez technologię (por. Böhme 1996).

Obok oczywiście postawy tak bardzo afirmującej popularna jest postawa wręcz przeciwna: tę znamy chyba najlepiej: dehumanizacja, egoizm, postawa nieuznawania dotychczasowych wartości kształtujących etykę, negacja historii, a przez to kultury, nieodróżnianie prawdy od fałszu, itp.

To, co pewne i zachwycające to interaktywność. I nie jej złudzenie, jak w przypadku telewizji, gdzie ma się pozór możliwości wyboru, poprzez istnienie czterdziestu kanałów, a w rzeczywistości nadal jest się całkowicie biernym, ale prawdziwa, dwustronna wymiana. *Cyberprzestrzeń namiast – przynajmniej dotąd – proponuje raczej akceptację niż dominację. Nie jest to narzędzie transmisji z kilku ośrodków (jak prasa, radio czy telewizja), ale interaktywnej komunikacji między grupami ludzkimi, umożliwiające kontaktowanie się niejednorodnych wspólnot (...) telewizja i prasa są narzędziami dezinformacji i manipulacji znacznie skuteczniejszym od Internetu, ponieważ mogą narzucić „jedyną” wizję rzeczywistości i uniemożliwić krytyczną reakcję i konfrontację odmiennych stanowisk.* (Levy 1997, 53). Oto ziszczenie marzenia o równouprawnieniu języków, spełniony projekt lyotardowskiego uprawomocnienia przez paralogię.

Jak ja zamierzam opisać tę ogromną, choć fizycznie nie istniejącą, przestrzeń? Oczywiście przez analogię: najmodniej, pewno najłatwiej, a może i najlepiej. Zaczę od klasyki, z nadzieją, że nikt nie poczyta mi tego za profanację. Jeszcze tylko muszę zaznaczyć, że to, na czym chciałabym się skupić, to Internet – niewyobrazalna sieć danych, *rozkraczona ośmiornica milionów komputerów trajkoczących jeden do drugiego jak świat cały i szeroki, wypełniających dokumenty, dostarczających serwisów danych i zbliżających do siebie sieciowych użytkowników poprzez rozmaitość wspólnych przestrzeni* (Davis, 110). W dużej mierze jednak moje refleksje dotyczą całej cyberprzestrzeni.

W poszukiwaniu innego świata, w wykraczaniu poza obszar naszej rzeczywistości człowiek specjalizuje się od dawna. Niewątpliwie istniejące granice rzeczywistości, historycznego i biologicznego uwarunkowania przeszkadzają mu, choć dają bezpieczeństwo. Co zrobić, aby przekroczyć tę barierę? Można podróżować (o tym później), można medytować, poddać się pustyni, zagłębić się w ciekawej lekturze itd. Można też szukać Inności w marzeniu sennym, fantazji i wyobraźni. Tą drogą idzie Bruno Schulz (przepraszam jeśli uprościłam poprzez nazwanie stanów, które wprowadza mały Józef, chodzi tylko o zarysowanie sytuacji). I jego opisy mają nam pomóc nawiązać rozmowę ze współczesną technologią.

Mieszkaliśmy w rynku, w jednym z tych ciemnych domów o pustych i ślepych fasadach, które tak trudno od siebie

odróżnić. Daje to powód do ciągłych omyłek. Gdyż wszedłszy raz w niewłaściwą sień na niewłaściwe schody, dostawało się zazwyczaj w prawdziwy labirynt obcych mieszkań, ganków, niespodzianych wyjść na obce podwórza i zapominało się o początkowym celu wyprawy, ażeby po wielu dniach, wracając z manowców dziwnych i splątanych przygód, o jakimś szarym świecie przypomnieć sobie wśród wyrzutów sumienia dom rodzinny. (Schulz, 1994, 27) Internet to oczywiście chodzenie, spacerowanie, jak się później okaże także podróżowanie i żeglowanie. W każdym razie na pewno szukanie. Ale czy czegoś konkretnego? Z początku często tak. Jednak szybko zamienia się to właśnie w błędzenie bez konkretnego celu, bez wyznaczenia punktu dotarcia. Ciągłe skręcanie w boczne uliczki, ni stąd, ni zowąd powracanie do tego samego miejsca, by szybko stracić z oczu pozorną mapę, która okazuje się być niemożliwa. Błędzenie, by nagle, bez żadnych problemów wrócić do domu rodzinnego. Labirynt – tak niewątpliwie pasuje tu ten mityczny, symboliczny, a nade wszystko archetypiczny pomysł na wędrówkę. Ale w Internecie zawsze mamy funkcję „wstecz” – to nić Ariadny. Mamy także możliwość po prostu z niego zrezygnowania poprzez wyjście z programu – to otwarcie oczu, tak jak w przypadku gry wyobraźni. Brak w tym labiryncie tylko Minotaura, bo nie ma tam centrum.

Czy chodzenie po sieci jest bezpieczne? Fizycznie niewątpliwie tak. Brak jakiegokolwiek uświadomianego ryzyka. Może jednak stać się nałogiem, tak jak nałogiem stają się ponoć podróże. Można także wejść w miejsce dla nas nie przeznaczone i poznać zakamarki ciemnego świata, zbyt wcześnie zostać poddanym inicjacji, zdobyć doświadczenie nie zawsze łatwe, można nagle znaleźć się w dzielnicy nowojorskich artystów, niczym bohater „Po godzinach”, można zabłądzić na ulicę Krokodyli, gdzie wyzywająco ubrane, w długich koronkowych sukniach przechodzą prostytutki. *Mogą to być zresztą żony fryzjerów lub kapelmistrzów kawiarnianych. Idą drapieżnym, posuwistym krokiem i mają w niedobrych, zepsutych twarzach nieznaczoną skazę, która je przekreśla; zezują czarnym, krzywym zezem lub mają usta rozdarte, lub brak im koniuszka nosa. Lecz Mieszkańcy miasta dumni są z tego odoru zepsucia, którym tchnie ulica Krokodyli. Nie mamy potrzeby niczego sobie odmawiać – myślą z dumą – stać nas i na prawdziwą wielkowiejską rozpustę* (s. 83).

W Internecie także nikt niczego sobie nie odmawia. Słynna jest już tamtejsza rozpusta, nagie ciała proszą o to, by chociaż je obejrzeć. Rozpusta w Internecie nie zna granic. Także znajdziemy w nim tandetność i jarmarczność rodem z dzisiejszego Montmartre’u i Schulzowskiej ulicy Krokodyli. Błyskotki, świecidełka, istne targowisko próżności. Ale są też rzeczy istotne, ważne i ciekawe. Do nich próbujemy dotrzeć ulegając nieraz czarowi internetowych prostytutek – jak w prawdziwej podróży. I dlatego może *Jest lekkomyślnością nie do darowania wysyłać w taką noc młodego chłopca z misją ważną i pilną, albowiem w jej półświecie z wielokrotnieją się, płaczą i wymieniają jedne z drugimi ulice. Otwierają się w głębi miasta, żeby tak rzec, ulice podwójne, ulice sobowtóry, ulice kłamliwe i zwodne. Oczarowana i zmylona wyobraźnia wytwarza złudne plany miasta, rzekomo dawno znane i wiadome, w których te ulice mają swe miejsce i nazwę, a noc w niewyczerpanej swej płodności nie ma nic lepszego do roboty, jak dostarczać wciąż nowych i urojonych konfiguracji. Te kuszenia nocy zimowych zaczynają się zazwyczaj niewinnie od chętki skrócenia sobie drogi, użycia niezwyklego lub przedszego przejścia. Powstają ponętne kombinacje*

ATM to:
Pierwsza firma oferująca dostęp do sieci Internet (3 lata na rynku).
Administrator komercyjnej domeny Internetu w Polsce.
Własne, bezpośrednie „wyjście w świat” do sieci Global-One (dawniej Sprint).

Dostęp do węzła ATM przez:
 zwykłe linie telefoniczne,
 stałe łącza dzierżawione,
 KOMERTEL, ISDN,
 POLPAK, VSAT.

Oferujemy:

- Własne konto w Internecie w ciągu 30 minut.
- Modemy i oprogramowanie przeznaczone do pracy w sieci.
- Instalacje oprogramowania, modemów i serwerów w siedzibie klienta.
- Szkolenia związane z Internetem: od podstawowych po specjalistyczne.
- Możliwość bezpłatnego wykorzystania serwera World Wide Web do promocji swojej firmy.

przezięcia zawilej wędrowki jakąś nie wypróbowaną przecznica (s. 68).

Czym się różni świat sklepów cynamonowych od świata *Wide web*? Zapachem, którego w tym drugim brak, onirycznością karzącą przymykać oczy wyobrażając sobie Schulzowskie krainy, a może naszym do nich stosunkiem. Świat cyberprzestrzeni wiecznie jest otwarty dla swoich użytkowników, w tym sensie nie ma granic. Można po nim podróżować, ale można go także tworzyć. Od początku do końca zrobiony jest przez człowieka – na wzór i podobieństwo tegoż. Nawet kiedy ręka poety dotknie go i zostawi tam ślad, znajdzie się on obok miliardów innych śladów i nie ma większego wpływu na całokształt. Swoista addytywność cyberprzestrzeni i pewne równouprawnienie składających się nań klocuszków (przynajmniej na razie, nie wykluczam, że to się może zmienić) jest jednym z czynników, który nie pozwala nam mówić o niej jako o świecie w pigułce, nie do końca broni się także nazwanie jej mikrokosmosem, a tym bardziej zwierciadłem rzeczywistości. Co najwyżej możemy mówić o marnej metaforze współczesności. Jest nową jakością, nowym tworem, wiecznie na nas otwartym i czekającym na ciekawe uzupełnienia. Jest także miejscem spotkań ludzi z całego świata, za negocjowaniem przestrzeni fizycznej, gwoździem do trumny Euklidesa. *World Wide Web* na nas czeka, chatlisty¹ z nami rozmawiają (te drzwi już z wszelkich tradycyjnych zasad i ograniczeń konwersacji), a gry komputerowe zabawiają. Świat Schulza przed nami ucieka, jest tak fascynujący, że chcemy się w nim znaleźć, ale to wymaga ogromnego wysiłku. W przeciwieństwie do cyberprzestrzeni, która dostępna jest dla każdego, sklepy cynamonowe pojawiają się, by zaraz zniknąć, ulotnić się i rozpląnąć. Są czystym, nieziszczalnym marzeniem, a Internet marzenie urzeczywistnił, tym samym je likwidując.

Powróćmy jeszcze raz do samych cynamonowych sklepów: *stabo oświetlone, ciemne i uroczyście ich wnętrza pachniały głębokim zapachem farb, laku, kadzidła, aromatem dalekich krajów i rzadkich materiałów. Mogłeś tam znaleźć ogień bengalskie, szkatułki czarodziejskie, marki krajów daw-*

no zaginionych, chińskie odbijanki, indygo, kalafonium z Malabar, jaja owadów egzotycznych, papug, tukanów, żywe salamandry i bazyliżki, korzeń mandragory, norymberskie mechanizmy, homunkulusy w doniczkach, mikroskopy i lunety, a nade wszystko rzadkie i osobliwe książki, stare folianty pełne przedziwnych rycin i oszalamiających historii (s. 69).

Cyberprzestrzeń nie jest poezją, brak jej cynamonowego zapachu i swoistej subtelności, ale ja wierzę, że podczas moich wędrowek po tej nieograniczonej krainie dotrę kiedyś na ulice świata sklepów cynamonowych, do jego najciekawszych zakamarków i znajdę w nich elementy, o których zapomnieć i których odrzucić nie warto. Bez tej wiary nie byłoby sensu po takiej rzeczywistości podróżować, a traktowanie jej tylko i wyłącznie instrumentalnie jako narzędzia i bazy danych wydaje się być niemożliwe. Zbyt dużo czasu się jej poświęca, zbyt dużo uwagi na niej skupia, za wiele tam świecidełek i koronek, tandety i mądrych słów, by móc nie zatrzymać się, a tylko wyszukiwać proste informacje na temat. Pamiętam, kiedy ostatnio podróżowałam po Internecie w poszukiwaniu wirtualnej superdziewczyny Lary Croft, to ani razu nie zostałam zaspokojona informacjami, ciągle chciałam wiedzieć więcej i więcej zobaczyć. Cały czas ma się bowiem świadomość, że można jeszcze znaleźć ciekawsze rzeczy, że źródło jest niewyczerpane, a na dodatek po drodze tyle interesujących dygresji.

Co jeszcze urzeka w cyberprzestrzeni? Obiecuje ona spełnić marzenia każdego podróżnika – poprzez postawienie stopy na obcej ziemi oswaja się ją, ogarnia, poznaje, a tym samym opanowuje. Podróż jest równa podbojowi. Sieć pokazuje świat już podbity i ogarnięty – zapisany i paradoksalnie cały czas otwarty na nasze dodatki. Chaos opanowany. Złudzenie wszechwiedzy, bo cała wiedza ludzkości jest w zasięgu naszej ręki. Banki danych zawsze są do naszej dyspozycji, więc my – my jako ludzkość – wiemy wszystko. Potencja nieograniczona kusi obietnicą ogarnięcia i poznania wszechrzeczy. *Cyberprzestrzeń odłania pragnienia o wiele starsze niż komputery cyfrowe: mistyczne pragnienie świadomości totalnej, magiczne pragnienie totalnej kontroli nad informa-*

cją. Ze swymi nieskończonymi granicami i rozległą hierarchią galaktyk i konstelacji, drogami i miastami, cyberprzestrzeń jest czymś więcej niż mapą – jest kosmosem. Jeden z etapów przejścia przez Corpus Hermeticum zawiera zbiór tekstów ezoterycznych z późnego antyku, które stały się podstawą europejskiej magii, alchemii i innych gnostycznych wzlotów – ujawniony Umysł mówi do Hermesa Trismegistusa: „Jeżeli obejmiesz myślą wszystkie rzeczy jednocześnie, czasy, miejsca, substancje, jakość i ilość, być może zrozumiesz Boga”. (Davis, 108)

Czy jednak nie za duże znaczenie nadajemy sieci i jej przestrzeni? Czy niebawem nie dostrzeżemy w niej faktycznego podobieństwa do ulicy Krokodyli? (Teraz pozwolę sobie na jeszcze jeden długi cytat, uważam bowiem, że opis ulicy dokonany przez Schulza może być wykorzystany jako bardzo celny literacki komentarz między innymi do zjawiska cyberprzestrzeni i moich o niej refleksji.)

A jednak – a jednak czy mamy zdradzić ostatnią tajemnicę tej dzielnicy, troskliwie ukrywany sekret ulicy Krokodyli?

Kilkakrotnie w czasie naszego sprawozdania stawialiśmy pewne znaki ostrzegawcze, dawaliśmy w delikatny sposób wyraz naszym zastrzeżeniom. Uważny czytelnik nie będzie nie przygotowany na ten ostateczny obrót sprawy. Mówiliśmy o imitacyjnym, iluzorycznym charakterze tej dzielnicy, ale słowa te mają zbyt ostateczne i stanowcze znaczenie, by określić połowiczny i niezdecydowany charakter jej rzeczywistości.

Język nasz nie posiada określeń, które by dozwalały niejako stopień realności, definiowały jej giętkość. Powiedzmy bez ogródek: fatalnością tej dzielnicy jest, że nic w niej nie dochodzi do skutku, nic nie dobiega do swojego definitivum, wszystkie ruchy rozpoczęte zawisają w powietrzu, wszystkie gesty wyczerpują się przedwcześnie i nie mogą przekroczyć pewnego martwego punktu. Mogliśmy już zauważyć wielką bujność i rozrzutność – w intencjach, w projektach i antycypacjach, która cechuje tę dzielnice. Cała ona nie jest niczym innym jak fermentacją pragnień, przedwcześnie wybuchają i dlatego bezsilną i pustą. W atmosferze nadmiernej łatwości kielkuje tutaj każda najlżejsza zachcianka, przelotne napięcie

puchnie i rośnie w pustą, wydetą narośl, wystrzela szara i lekka wegetacja puszystych chwastów, bezbarwnych włochatych maków, zrobiona z nieważkiej tkanki majaku i haszyszu. Nad całą dzielnicą unosi się leniwy i rozwiążyły fluid grzechu i domy, sklepy, ludzie wydają się niekiedy dreszczem na jej gorączkującym ciele, gęsią skórka na jej febrycznych marzeniach. Nigdzie, jak tu, nie czujemy się tak zagrożeni możliwościami, wstrząśnięci bliskością spełnienia, pobladli i bezwładni rozkosznym struchleniem ziszczenia. Lecz na tym się też kończy.

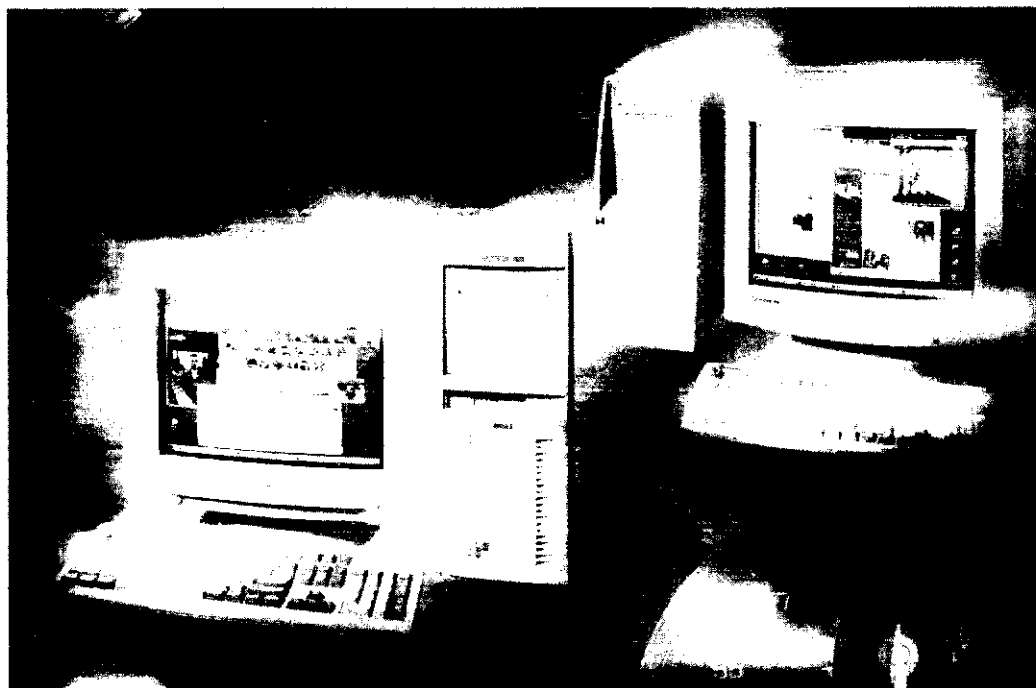
Przekroczysz pewien punkt napięcia, przyplływ zatrzymuje się i cofa, atmosfera gaśnie i przekwita, możliwości więdną i rozpadają się w nicłość, oszalałe szare maki ekscytacji rozsypują się w popiół.

Będziemy wiecznie żalowali, żeśmy wtedy wyszli na chwilę z magazynu konfekcji podejrzonej konduity. Nigdy nie trafimy już doń z powrotem. Będziemy bładzili od szylku do szylku i mylili się setki razy. Zwiedzimy setki magazynów, trafimy do całkiem podobnych, będziemy wędrowali przez szpalery książek, wertowali czasopisma i druki, konferowali długo i zawile z panienkami o nadmiernym pigmentcie i skażonej piękności, które nie potrafią zrozumieć naszych życzeń.

Będziemy się wiktali w nieporozumieniach, aż cała nasza gorączka i podniecenie ulotni się w niepotrzebnym wysiłku, w straconej na próżno gonitwie.

Nasze nadzieje były nieporozumieniem, dwuznaczny wygląd lokalu i służby – pozorem, konfekcja była prawdziwą konfekcją, a subiekt nie miał żadnych ukrytych intencji. Świat kobiecy Ulicy Krokodylej odznacza się całkiem miernym zepsuciem, zagłuszonym grubymi warstwami przesądów moralnych i banalnej popolitości. W tym mieście taniego materiału ludzkiego brak także wybujałości instynktu, brak niezwykłych i ciemnych namiętności.

Ulica Krokodyli była koncesją naszego miasta na rzecz nowoczesności i zepsucia wielkomięskiego. Widocznie nie stać nas było na nic innego jak na papierową imitację, jak na fotomontaż złożony z wycinków zleżałych, zeszlortocznych gazet. (s. 83, 84)



Po tej dłuższej refleksji, która nie musi być odczytywana jako jednoznaczna krytyka, a moją intencją umieszczenia jej w tym miejscu była raczej pewna obawa, a może nawet delikatna przestroga przed beztrojskim poddaniem się uwiedzeniu temu urzekającemu światu, wróćmy do podróżowania. Czy to kwestia atrakcyjności tkwiącej w samej metaforze podróży czy faktyczne podobieństwo, że używa się tego określenia nagminnie przy omawianiu cyberprzestrzeni? Już wcześniej zarysowałam pewne cechy wskazujące, że nie jest to przypadek. Spróbuję pójść jeszcze kawałek dalej. Podróż to niewątpliwie poruszanie się w przestrzeni i w czasie. Sieć pozwala nam pokonać wszelkie granice, dostać w każde miejsce: jedno kliknięcie i Luwr, drugie i zwiedzamy Disneyland, trzecie poznajemy borgesowskie labirynty², itd. Podróżujemy po całym świecie, po wszystkim, co człowiek wymyślił i wsadził do komputera (jeśli coś tam jeszcze nie jest zapisane, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to zrobić). Zostawiamy czas płynący w domu, aby poddać się innemu. *Czas podróży jest czasem niezwykłym, bo odmiennym od porządku codzienności, bo toczącym się we własnym, swoistym rytmie. Jest czasem nieciągłym, czasem bez przeszłości i bez przyszłości, jakby zawieszonym w innej, sobie właściwej rzeczywistości. Jest czasem, w którym możliwe są wydarzenia i sytuacje odmienne od rutyny codzienności, nie mieszczące się w jej ramach.* (Tarkowska, 1995). To się zgadza z podróżą internauty. Podróżny to ten zawieszony między początkiem a końcem, ten już nie w domu, ale jeszcze nie u kresu. Tutaj podróżujący po sieci przypomina raczej skoczka z miejsca na miejsce, albo włóczęgę wielce ciekawego świata. Dla internauty nie istnieje strach, niebezpieczeństwo, techniczne ograniczenia. To czysta wędrówka, bezcielesna tułaczka. Ale podróż to także miejsce spotkań z innym, rozmów bardzo ważnych i tych niezobowiązujących, zostawiania śladów w nieoczekiwanych miejscach i ludziach. Wszystko się zgadza. Podróżując po Internecie możemy gdzieś odpowiedzieć komuś na zadane pytania, dodać własne zdanie na liście dyskusyjnej, zwierzyć się wirtualnemu psychoanalitykowi. Na internetowym murze napisać: „tu byłem”. A ciągle przy tym jesteśmy w ruchu, przemierzamy kilometry bajtów, aby poznać, dowiedzieć się, zasmakować Nowego. A jednak przez to, że cyberprzestrzeń umożliwiła nam bycie równocześnie w kilku miejscach, wyeliminowała w jakimś stopniu czynnik czasu i stuprocentowo odległości. Także poprzez kontakty w sieci może tworzyć nowe podziały społeczne oparte na wspólnych zainteresowaniach i możliwościach poruszania się w obrębie podobnych tematów.

Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z nową formą podróży, całkiem abstrahującą od fizycznych odległości i uniedogodnień terenu. Ale jednocześnie Internet, na trochę już innym poziomie, prawdziwą (czy żeby tak nie wartościować powiedzmy dotychczasową) podróż niweluje. Nie tylko pozwala będącemu w podróży na nieustanny kontakt z osobami pozostawionymi w domu, ale także daje możliwość obcowania ze swoją codzienną przestrzenią: chociażby przez możliwość włączenia ulubionej rozgłośni radiowej, przeczytania gazety lokalnej, dowiedzenia się o wynikach ligi piłkarskiej. Z drugiej strony kiedy włączy komputer, ma do czynienia z dokładnie tą samą cyberprzestrzenią, z którą obcuje na co dzień. Internet naprawdę drwi sobie z geografii i skutecznie udaje mu się pokazać, że nie jest ona warta zachodu.

Simon Penny twierdzi, że nie ma tu wcale jakiejś radykalnej zmiany, gdyż rzeczywistość wirtualna liczy sobie co naj-

mniej dwa tysiąclecia. Śledząc w historii różne iluzje i marzenia o symulacji, wskazuje m.in. na teatry optyczno-mechaniczne. Jeden z nich miał być tak przedstawiony w ówczesnej prasie: *Nikt chyba z odwiedzających wystawę nie zdoła się oprzeć pokusie (...) odbycia podróży mającej wszelki pozór prawdziwości, a nie narażającej na koszty i niebezpieczeństwa (...) nawet na wzburzonym morzu wśród szalejących żywiołów można w każdej chwili zejść na twardy grunt.* Podobnie bezstresowo podróżował markiz de Selby: *Podczas swego pobytu w Anglii, mieszkał przez pewien czas w Bath, skąd musiał się udać w pilnej sprawie do Folkestone. Potraktował to w sposób raczej niekonwencjonalny. Zamiast pójść na dworzec i zasięgnąć informacji o pociągach, zamknął się w swoim pokoju zaopatrzonej w duży wybór pocztówek ukazujących miejsca, przez które musiałby przejeżdżać podczas podróży. Miał też wiele zegarów i barometrów oraz przyrząd do regulowania lampy gazowej tak, by dostosować ją do zmieniającego się na zewnątrz światła. Co działo się w jego pokoju i do czego posłużyły markizowi liczne instrumenty – tego dokładnie nie wiemy. Wydaje się jednak, że po kilku godzinach wyszedł z pokoju przekonany, że był w Folkestone i że prawdopodobnie odkrył taki sposób podróżowania, który nie przypadnie do gustu kompaniom kolejowym i okrętowym.* (za: Penny 1996, 147).

Internet jednak to nie iluzja rzeczywistości, on nie ma pretensji do bycia doskonałą symulacją: to inna forma poznania, to nowy sposób kontaktowania się ze światem, oryginalne doświadczenie całej niemal kultury. I dlatego nie ma potrzeby traktowania rzeczywistości wirtualnej jako alternatywy dla rzeczywistości realnej, człowiek bowiem może wybrać obie. Jak bardzo, przynajmniej na razie, sieć nie może się obyć bez odniesienia do realności, świadczy między innymi metafora opisująca poruszanie się po Internecie. Tak więc obok podróżowania mamy wielce popularną nazwę: infostrada. Infostrada na wzór autostrady, z tym, że na tej pierwszej z ogromną prędkością przemieszczane są informacje (ponoć najdroższy produkt współczesnego świata). Podobnie ruch odbywa się tu nieustannie, tylko że nie ma ograniczeń ilościowych. Jednak poruszający się po sieci to ktoś mieszczący się na przeciwnym biegunie w stosunku do kierowcy tira czy innego auta. To wolno i z reflekssem przemierzający wcale nie pustą i antyludzką (jak w przypadku autostrady) przestrzeń. On ma prawo zajrzeć, kiedy tylko chce, do ciekawego miejsca, kupić niepotrzebną rzecz, zatrzymać się nie tylko na papierosa. On ma prawo błędzić, skręcać i zapominać o celu. Może dlatego bardziej popularna jest jeszcze inna metafora: żeglowania, nawigacji i surfowania.

O żeglowaniu mówią wszyscy: począwszy od poważnych redaktorów specjalistycznych gazet komputerowych, którzy na pewno obruszyliby się, gdyby ktoś powiedział im, że posługują się metaforą, przez śmieszniastych piszących o grach komputerowych, do socjologów i teoretyków cyberprzestrzeni, w końcu i sami użytkownicy sieci. Żeglarskie artefakty bardzo często pojawiają się w reklamach sprzętu komputerowego czy w nazwach i czołówkach programów. Nic nie znaczący przypadek (Lakof i Johnson nie uznaliby tego tłumaczenia), zwykła atrakcyjność tak popularnej metafory czy może coś więcej w tym jest? Pójdźmy tropem trzeciego podejrzenia.

Nawigacja morska jest gatezią wiedzy, która umożliwia przeprowadzenie statku bezpieczną drogą z jednego punktu na powierzchni Ziemi do drugiego. (Czajewski 1986, 9). Bezpieczeństwo jest raczej zapewnione, chyba, że boimy się

komputerowych wirusów lub złośliwych hackerów. Co z żeglarską wiedzą? Czy interzełgarz faktycznie posługuje się jakąś konkretną techniką i umiejętnościami, aby dotrzeć do celu? Tak, jeśli wyznaczy sobie konkretny cel (a ten, jak wyżej wspomniałam, bardzo łatwo ulega zapomnieniu), to musi poznać, która przeglądarka jest najlepsza, gdzie szukać, jakich typów wiadomości itp. Musi starannie omijać przeszkody, nie dać się zdrzyfować na nieznanne tereny i być cierpliwym. Jednak większość nałogowych internautów ani myśli o narzucaniu sobie surowej dyscypliny, chyba że rachunek telefoniczny przekroczy granice przyzwoitości³. Raczej termin nawigacja wskazuje na potrzebę dostania narzędzi i mapy do poruszania się po tej niewyobrażalnej przestrzeni. A może zakłada jakiś talent czy nabytą umiejętność, mimo wszystko ogarniania bezkresu. Ale tu żeglarzem może być każdy i żadnego patentu nikt nie wymaga.

A co z surfowaniem, może ono okazać się lepszym określeniem. Jeśli uznać, że jest ślizganiem się po powierzchni, bez zagłębiania się (bo w tym kontekście głębi nie ma), jechaniem na fali, to dobrze. Jednak surfowanie to także cała otoczką: kolorowe stroje, deska najlepszej firmy, długonogie dziewczęta, białozębni chłopcy. I tutaj znajdziemy analogię do Internetu. Surferzy mają kontakt z oceanem – w jakimś stopniu odpowiednikiem cyberprzestrzeni, jako czymś nieogarnialnym, chaotycznym, bez widocznego końca, otwartym, nie narzucającym kierunku. Pełna dowolność wyboru. Surfer, podobnie jak internauta: idzie, żegluj, mówi dość, wraca. Bez zobowiązań, bez nocowania w obcym porcie, po prostu. I w tym jest bliższy miłośnikowi sieci od swojego starszego brata żeglarza. Liczy się kontakt z wodą, ale nie z niebezpiecznym żywiołem. Choć internauta, podobnie jak żeglarz to ten, co ma dostęp do wielkiego świata, ten, któremu nie wystarcza najbliższa okolica, ten, który pragnie poznania, ciągłego zrywania jabłka z drzewa wiadomości; ten drugi jest symbolem odwagi, siły, indywidualności, życiowej mądrości. Zdarzają się jednak marynarze bez tej całej głębokiej ideologii, nawet u Josepha Conrada: *Kapitan McWhirr pływał po powierzchni oceanów jak niektórzy ludzie prześlizgują się po latach życia, by łagodnie zapaść w spokojny grób, nieświadomi życia do ostatka, nie wiedząc, ile w nim*

zdrady, brutalności i przerażenia. I na morzu, i na lądzie, zdarzają się ludzie tak uprzywilejowani – lub tak lekceważeni przez los albo morze. (Conrad 1973, 31). Nie ma co jednak ukrywać, że większość bohaterów morza to ci doświadczający niebezpiecznego żywiołu, dotykający śmierci romantyczni herosi lub szaleńcy. To bieda i ascetyczny styl życia, to wielkie ideały i legendy. A w sieci? Przeciwnie – bardziej barok niż romantyzm, raczej jarmark niż pustynia (bez wartościowania). Na statku jestem sam, muszę liczyć przede wszystkim na siebie i tylko listy pomagają mi utrzymać kontakt z resztą świata. W sieci: z pozoru samotny przy komputerze, przez Internet kontaktuję się z masą ludzi. Nie mam prawa czuć się samotny, w każdej chwili mogę pogadać, cały czas mam świadomość równoczesnego istnienia w tej samej przestrzeni tłumu innych – mojej społeczności. To jeszcze raz warto zapytać, skąd to żeglowanie w Internecie? Chodzi o nieistnienie wytyczonych szlaków, o wolność czy o poszukiwanie? A może sieć ma coś wspólnego z chińskimi morzami, o których znowu Conrad: *Są to morza pełne zwyczajnych faktów, które mówią same za siebie – wysp, mielizn, raf, bystrzych i zmiennych prądów – skomplikowanych zjawisk, które jednak przemawiają do marynarza językiem jasnym i precyzyjnym.* (s. 27).

Woda, jako dobre określenie zjawiska, które tu staram się opisać, pojawia się jeszcze w innym kontekście. Telekomunikacja i za nią to, co tworzy cyberprzestrzeń, zostały przez Pierre'a Levy przyrównane do biblijnego potopu: *Drugi potop nigdy się nie skończy. Ocean informacji jest bez dna. Potop to nowa kondycja, z którą musimy się pogodzić. Nauczmy nasze dzieci pływać (nawigować?), utrzymywać się na powierzchni, a może nawet sterować. Wśród powszechnego falowania jedno jest pewne: idea stałego łądu jest przedpotopowa.*

Patrząc przez okienko swej arki Noe, to znaczy każdy z nas, jak okiem sięgnąć widzi inne arki. Płyną po wzburzonym oceanie komunikacji numerycznej. Każda z nich dokonała własnej selekcji. Każda pragnie ocalić różnorodność. Każda chce przekazać informację. Arki będą dryfować bez końca po powierzchni wód. (s. 46). Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak patetycznie przypomnieć za starożytnymi: „*Navigare necesse est, vivere non est necesse*”.

PRZYPISY

¹ Chatlisty to coś na kształt internetowych kawiarni, miejsce niezobowiązujących pogawędek, nieraz bezsensownych dialogów; cieszą się ogromną popularnością wśród użytkowników. Podobną rolę spełniają grupy dyskusyjne (tematyczne), gdzie także każdy może w każdej chwili wypowiedzieć się i poznać wypowiedzi innych.

² *Notabene* to właśnie borgesowski labirynt wydaje się być świetną metaforą internetowego świata. Chyba już nieraz wykorzystaną.

³ Z takich czysto technicznych ograniczeń należy wskazać także na fakt, że wiele stron w Internecie jest płatnych, mogą dostać się na nie tylko posiadacze karty kredytowej.

BIBLIOGRAFIA:

- Böhme, Hartmut
1996 *Teologia teleobecności*, tłum.: Aleksandra Ubertowska, „Magazyn Sztuki”, nr 10 (2/96)
- Brzechwa, Jan
1968 *Akademia Pana Kleksa*, Warszawa
- Conrad, Joseph
1973 *Tajfun*, (w:) *Tajfun i inne opowiadania*, tłum.: Halina Carroll-Najder, Warszawa
- Czajewski, Jacek
1986 *Nawigacja morską*, Warszawa
- Davis, Frank
1998 *Komputer. Wszechświat*, tłum.: Marzena Beata Guzowska, „Magazyn Sztuki”, nr 17 (1/98)

- Levy, Pierre
1997 *Drugi potop*, tłum.: Justyna Budzyk, „Magazyn Sztuki”, nr 13–14 (1–2/97)
- Penny, Simon
1996 *2 tysiąclecie rzeczywistości wirtualnej*, tłum.: Jadwiga Węgrodzka, „Magazyn Sztuki”, nr 9 (1/96)
- Schulz, Bruno
1994 *Sklepy cynamonowe*, Warszawa
- Tarkowska, Elżbieta
1995 *Czas podróży, włóczęgi, wędrówki*. „Res Publica nowa”, nr 7–8 (82–83)